

Andrzej Gnarowski

Paryż 1944

(w 80. rocznicę wkroczenia aliantów)

*Dni przyszłości stoją przed nami
jak rząd świec gorejących*

Kawafis

Paryż wreszcie uwierzył w nieśmiertelność – bogów (zauroczonym krótkim ekstatycznym uniesieniem). Nawet Kloszarda Chrystiana Lefebra ogarnął smutej mocny jak śmierć Opuszczając noclegownię w Departamencie Maine-et-Loire I oto nagle stanął nieruchomo na środku ulicy nieopodal Dworca kolejowego Gare du Nord. Chwila ta była wieczna Potknął się o worki z piaskiem leżące w szeregu jak o kamień W chwili kiedy przechodziła kobieta (ot jeszcze jeden przechodzień) W jego oczach odbił się surowy blask przyziemionego złota Jej gęstych włosów. Słyszał głosy śmiejące się krzyczące Zuchwałe wysokie i niskie. Jego wzrok zdawał się hipnotyzować I tak istota ludzka odnajdywała się w istnieniu nieskończonego Świata – w ciężarówkach załadowanych po brzegi kobietami dziećmi I pościelą. W oddali dudniły pociągi – Dramat jego życia miał w sobie coś z absurdalności tragedii Starożytnej – i tak oto historia się toczy

Tylko myśli wspinały się na pnie drzew jak dzikie koty Potem wracały do istniejących form życia. Do rzędów świec Gorejących. Do mauretańskich linii murów. Tylko Kloszard Chrystian Lefebur w swojej niezziemskiej brzydocie jak Tersytos Homera z kredowo-bładą twarzą. Z zębami wilka nieufnie spoglądał Na ptaków długie korowody. Na ich kołowy lot W uśmiechu Boga sam fakt istnienia czynił ich pięknymi

Latarnie gazowe migotały mętnie we mgłach ukryte Czas odmierzał przybój fal niewidocznej stąd rzeki Witraże w katedrze wyglądały jak szkiełka kalejdoskopu usypane Ze światła przez które słońce zabarwiało maskary na Pont-Neuf Na wieży Eiffla jeszcze powiewała flaga ze swastyką Jak przed defiladą na Polach Elizejskich

Oto Paryż w doświadczeniu wolności. Bez pocisków Przeciwnolotnych. Dni przyszłości rozświetla się jak oleandry Barwne. Wiosny z czereśniami. Jak popioły z ognia. Kiedyś powrócą Nad Sekwanę „Dwie kobiety biegnące po plaży” Picassa Jak po łące śniegu. Pale rzeki rozbiegną się i przemkną Jak karty wysuwane z talii. „Kurytany na Monparnas z Beaux-Arts jak na Olimp wjadą na rydwanach”

Całkowicie nie paryskie było milczenie kościelnych dzwonów Toteż Chrystian Lefebur nasłuchiwał narastającej frazy dźwięków Kryształicznie czystych i intensywnie uderzających jakby Rozdzielając się przemawiały synkopami. Powietrze pachniało Mirrą i kadzidłem. Nagle muzyka dzwonów zdławiła oddech Jak lodowaty wiatr. Ciężki a zarazem łagodny był ten pierwszy Dzwon. Wydobywał się z mikroświatów ciemności. Z szafirowej Muszli perłopłazu. Z ptakiem żałobnym jawiąc się pospołu:

Z Saint-Severin. Z Saint-Julien-le-Pauvre
Z Saint-Germain-des-Pres. Z Sacre-Cour
Z Saint-Sulpice. Z Saint-Gervais-Protais
Z Saint-Eustache. Z Notre-Dame

Przed kolumnadą romańską eskorta czołgów Wychylali się z nich żołnierze w szerokich beretach Dziewczęta rzucały kwiaty – żołnierze osłaniali głowy Silnymi tarczami ramion – w chwili kiedy zapłonęła wieża Kościoła świętej Katarzyny. Chrystian Lefebur kloszard

Z rozrzewnieniem pomyślał o butelce koniaku z emblematem Napoleona. Fizjologia bywa nieubłagana



Małgorzata Anna Bobak-Końcowa

Czerwone lakierki

mamie

Historia zaczyna się od spaceru przez wieś przystańmy na chwilę by zobaczyć ulicę kościół pocztę remizę bar oraz kiosk można tu kupić bilet na PKS i spirytus salicylowy ale dziewczynka patrzy na lizaki w kształcie kogucików od nich usta robią się czerwone jak kwiaty dzikich róż rosną pod kościołem skrzynka do której dziadek wrzuci list i wóz strażacki co pędzi ulicą wtedy kury uciekają w głąb podwórka jeśli nie zdążą zalewa je czerwien pomadka na ustach ekspedientki zawsze wydaje się zbyt jaskrawa za resztę można kupić garść kruchych krówek Teraz wszyscy patrzą na czerwone lakierki ze stolicy idą razem przez wieś dziadek wiedział dużo o miłości i śmierci uczył ludzi milczenia i szacunku do ziemi zanim zaczął patrzeć na wszystko z pułapu gromowej skazy na niebie był dobrocią domy rozdzielał po wędrownce ze wschodu rządowym przykazem tak sprawiedliwie że zapomniał o sobie kiedy nie wracał długo z Warszawy dom trwał w milczeniu uparcie sikorki otwierały dziobami zbyt rześkie poranki jaskółki zamykały za długie wieczory ubywało wielkiej kuli na niebie Kiedy ma się cztery lata bociany wydają się większe psy za duże każda gaska do oswojenia a królik do przytulenia lecz kiedy wraca dziadek nic się nie liczy można tak iść i iść przez wieś aż minie pora obiadowa i wystygnie barszcz z ziemniakami Któregoś dnia dom na rok i dłużej zamilkł głośniejszy niż kiedykolwiek przedtem jaskółki zatrzasnęły drzwi stajni stał smutny koń nikogo nie trzeba było uczyć milczenia łyzy starych i młodych kobiet jednakowo wsiąkały po kątach Którejś długiej nocy zaskrzyiała stara szafa dziewczynka wyszła z niej z lalką i misiem budząc perlistym śmiechem całą rodzinę mówiono przy śniadaniu że dziadek wrócił i nikt nie ośmielił się wyjąć zabawek choć do urodzin było daleko Mówiono że ubecy wyrzucili dziadka przez okno pędzącego pociągu bo nie pozwalał na rozkradanie niemieckich grobów a może za to że był jasny jak gołąb który zagląda między pręty snów i plugawym uzmysławia jak bardzo są robaczywi chmury tak mają nadchodzą rozkładają skrzydła nad szczęśliwym życiem zamara nawet piekło Tylko że teraz wszyscy patrzą na czerwone lakierki ze stolicy idą razem przez wieś